

Kto kupi buty dla noblistki?

Te kst: KATARZYNA T. NOWAK

Agnieszka o swoim szefie Czesławie Miłoszu mówi „Miłosz”, Wojtek, asystent Stanisława Lema, używa zwrotu „szef”, a Michał inicjału nazwiska pracodawczyni, Wisławy Szymborskiej, „pani Sz.”. Siebie samych nazywają pierwszymi sekretarzami. Tak jak Adam Michnik, kiedy był asystentem Antoniego Słonimskiego.

Z panią Sz. połączyła mnie miłość do limeryków, bo kandydatów na pierwszego było kilku – wspomina Michał Rusinek, sekretarz Wisławy Szymborskiej. Panią Sz. poznał w Tajemnej Łoży Limerycznej, w której poetka jest członkiem honorowym i rzeczywistym, on wielkim mistrzem, którego zadaniem jest zmuszanie „podwładnych” do pisania limeryków. Michał miał zostać sekretarzem tylko na trzy najgorsze miesiące, jakie nastąpiły po Noblu. Pani Sz., znana z głębokiej potrzeby przebywania wyłącznie sama ze sobą, nie radziła sobie z olbrzymią, nagle zrodzoną popularnością. – Moim zadaniem było, i jest nadal, chronić jej prywatność. Odpowiadałem na setki listów, odbierałem setki telefonów i razem z panią Sz. udawałem, że nie ma jej w domu. Zainstalowałem w jej telefonie automatyczną sekretarkę z nagraniem moim groźnym głosem, który miał odstraszać dzwoniących, sobie kupiłem komórkę. Założyłem też konto mailowe w internecie, żeby skrzynka pocztowa w bloku pani Wisławy mogła się wreszcie domykać. Stworzyłem „wirtualne” biuro noblistki. Pracowa-

wałem wtedy po kilka godzin dziennie, sortując listy, początkowo do teczek, potem do wielkich pudeł po pampersach – wspomina Michał Rusinek.

– Planowaliśmy odpowiadać na wszystkie, ale rychło okazało się to niemożliwe. Po fali gratulacji pojawiły się setki listów z prośbą o wsparcie finansowe, które rozpoznawałem po najtańszej kopercie i papierze w kratkę. Różne szkoły pragnęły nadać sobie imię noblistki. Tu zawsze odpowiedź była odmowna. Pani Sz. nie uznaje honorowania za życia. Telefony bywały normalne i dziwaczne. Kiedyś zadzwonił, mówiąc z wyraźnym wschodnim akcentem, sam Jezus Chrystus... Po pierwszych trzech miesiącach okazało się, że asystent jest pani Sz. niezbędny. Pani Sz. prosi czasem Michała, by kupił jej ulubiony bekon lub... buty.

– Tuż przed wyjazdem do Frankfurtu noblistka mówi, że bez butów nie możejechać, bo te, co ma, są zbyt stare. Byłem przerażony! Nawet sobie kupuję buty z pomocą żony. Z patyczkiem w ręce krążyłem po sklepach i szukałem odpowiedniej pary. Miały być po prostu wygodne, ale właśnie o takie jest przecież najtrudniej. No i kupiłem – wspomina Michał. ▷



**Michał Rusinek, asystent
Wisławy Szymborskiej,**
pojawia się dwa razy w tygodniu,
aby „poszurać papierami”.
Noblistka dyktuje mu listy, faksy
i maile. Czasem prosi, by kupić jej
ulubiony bekon.



Agnieszka Kosińska
na prośbę Czesława Miłosza
odczytała rękopisy listów pisarzy.

Gdy przy lekturze oboje śmiali się do łez,
żona noblisty, Amerykanka Carol, oceniła:
Tak się mogą śmiać tylko Polak z Polakiem.

◁ Najbardziej nietypowe zlecenie zdarzyło mu się, gdy pani Sz. zapragnęła zrobić niespodziankę znajomym mającym domek w górach. – Po kamienną owieczkę, taką ozdobę do ogrodu, specjalnie pojechaliśmy do Pcimia. Potem ja, w kamuflującym stroju, czego zażyczyła sobie moja pracodawczyni, przemykałem po krzakach, by tę owieczkę niezauważenie umieścić w ogrodzie – wspomina pierwszy sekretarz. Gdy rozmawiamy, jego komórka dzwoni niemal bez przerwy. „Nie, pani Szymborska stanowczo się nie zgadza”, „Przykro mi, ale to raczej niemożliwe”, „Będę u pani Szymborskiej pojutrze, zapytam”... – Niektórzy myślą, że skoro jestem osobistym sekretarzem pani Sz., to mam na nią jakiś wpływ. A to nieprawda. Nikt na nią nie ma wpływu. Zawsze decyduje sama. Praca sekretarza znanej osobistości nigdy nie polega na siedzeniu za biurkiem, lecz na organizowaniu spotkań i wywiadów, a w przypadku Michała Rusinka głównie na odmawianiu w imieniu pracodawczyni. Dla odmiany Czesław Miłosz, ukształtowany przez amerykańskie realia, rozumie potrzebę spotkań i szczególnie ceni sobie te z młodzieżą. Poza tym wie, że Szymborska zwykle odmawia, choć jest jedyną osobą, która mogłaby z nim dźwigać ciężar Nobla i „żyjącego wielkiego poety”. Asystentka poety Agnieszka Kosińska często w szyfrowej rozmowie uzgadnia z Michałem stanowiska: Was też zaprosili na tę imprezę? I co, jak zwykle? I jak zwykle pójdzie jedno z noblistów.

– Parę razy zdarzyło mi się – wspomina Michał Rusinek – być między młotem a kowadłem, gdy czułem, że ona jednak powinna się zgodzić, ale nigdy nie naciskam, gdyż wiem, ile ją to kosztuje. Pani Sz. po każdym publicznym wyjściu musi długo odpoczywać. – Pani Sz., w co nie wszyscy chcą uwierzyć, nie nadaje się do użytku publicznego – stwierdza Michał. – W przeciwieństwie do Miłosza, który jest „urzędującym pisarzem” – śmieje się Agnieszka Kosińska. – Lem też nie opuszcza domu – informuje Wojtek Zemek, sekretarz autora *Solaris*. – Na zaproszenia już rutynowo odpowiadam grzecznie, ale odmownie.

Fizycznie biuro pani Sz. nie istnieje. Michał pracuje po prostu pod komórką. Nie ma ustalonych godzin pracy, jak Agnieszka czy Wojtek, choć w przypadku całej trójki ta praca trwa praktycznie cały czas, gdyż relację

Czesław Miłosz chytrze wstuchuje się w opinie młodszych pokoleń. Z Agnieszką rozmawia o serialu *Złotopolscy*, a z jej 9-letnim synem Mikołajem o książkach o Harrym Potterze.

szef-asystent już dawno zastąpiła relacja przyjaciel-powiernik.

Michał pojawia się u pani Sz. dwa razy w tygodniu, żeby – jak to ona nazywa – „poszurać papierami”. Wklepuje w komputer jej felieton (pani Sz. wszystko pisze ręcznie, po czym sama przepisuje to na zabytkowej energodowskiej maszynie) i wysyła go mailem do „Gazety Wyborczej”. Noblistka dyktuje mu listy, faksy i maile. Jak ten do Stanisława Barańczaka: „Kochany Stasiu, odkryłam wyrywę w polskiej literaturze. Nie ma limeryku do miejscowości Ocypel”. Na drugi dzień Barańczak wysyła trzy i każdy ze stosownym rymem (porządny limeryk musi zawierać w sobie nazwę miejscowości, dobrze też, jeśli jest choć trochę nieprzyzwoity).

Michał Rusinek pisuje nie tylko limeryki (które zawsze jako pierwsza czyta pani Sz.), pisze też doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim i notuje anegdoty związane ze swoją pracą. Gdy Michałowi zdarzy się jakaś pomyłka czy wpadka, za karę odkręca słoiki, np. z buraczkami albo z grzybkami, które pani Sz. bardzo lubi („Otwieranie słoików wcale nie jest łatwe” – tłumaczy Michał). Kiedyś wydawnictwo w Stambule zapytało, czy w związku z odbywającym się u nich festiwalem poezji Wisława Szymborska zaszczyli ich swoją obecnością w ciągu najbliższych trzech miesięcy. Michał pomylił się i zamiast odmówić, odpisał: „Pani Szymborska zaszczyli państwa na najbliższe trzy miesiące”. Z dyrekcji wydawnictwa nadeszła odpowiedź, że spróbują to załatwić, ale czy może być jakiś tańszy hotel? „Poodkręcałem wtedy trochę słoików...”

Dzięki pani Sz. Michał poznał wielu wybitnych ludzi, co sobie ceni. Miłoszom zakładał internet i pomaga we wszelkich komputerowych kłopotach. Jego siostra Joanna przez pewien czas była sekretarką żony Miłosza, Carol. Oboje nobliści spotykają się niekiedy ze sobą, by o czymś razem zdecydować lub odbyć podróż. Chodzą słuchy, że jedyną osobą, która jest władna Szymborską do czegoś namówić, jest Miłosz. – Miałem okazję pojechać z nimi do Wilna, bo Miłosz zapragnął, by pani Wisława zobaczyła miasto jego młodości. Ona, która nienawidzi podróży, od razu się zgodziła i wzięła mnie ze sobą. To było niezwykle doświadczenie. Najbardziej zdumiewa, że to są zwyczajni, normalni ludzie – mówi Michał o tych, którzy za swoją poezję dostali najwyższą z możliwych nagród. ▷

Kto
kupi buty dla noblistki?



Wojciech Zemek trafił do Stanisława Lema, by uporządkować bibliotekę.

Dziś czuje się jak domownik. Je obiad z pisarzem i jego żoną. Lem, który nie wychodzi z domu, dyktuje mu książki.

◁ W przeciwieństwie do Michała, którego pani Sz. od początku powitała z radością, Czesław Miłosz w pierwszej chwili spojrzal na Agnieszkę Kosińską ze słabo skrywaną niechęcią. To nie on bowiem, lecz znana z pragmatyzmu jego żona Carol, Amerykanka, uznała, że mężowi przyda się asystentka; on sam nie widział tej potrzeby. – Carol pytała o wszystko: co robię, gdzie pracuję, czym się interesuję, badała, na ile znam angielski. Kończyłam studia, zajmowałam się krytyką literacką, pisując głównie o tzw. powieści kobiecej, byłam po rozwodzie, a mój syn Mikołaj miał pięć lat. Carol była serdeczna i całkowicie bez dystansu. Poprosiła o CV i umówiła mnie z Miłoszem. A poeta podniósł głowę znad biurka i fuknął: „Ja tu nikogo nie potrzebuję, tu się nic nie dzieje!”

Agnieszka, pojawiając się po raz pierwszy w domu Miłoszów, nie była nowicjuszem w sekretarzędowaniu. Sześć lat wcześniej, na IV roku polonistyki UJ, pomagała w prowadzeniu biura krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Głęboko weszła w to środowisko, poznała „miejscowych wariatów i odmieńców”. Dla młodej studentki literatury to było ważne doświadczenie.

– Miłosz wkrótce zadzwonił – wspomina Agnieszka. – Przygotowywał do druku swoją międzywojenną korespondencję z pisarzami. Poprosił, żebym pomogła odczytać rękopisy listów do Iwaszkiewicza, Andrzejewskiego i Krońskich, szczególnie miejsca wątpliwe.

Byłam błada ze strachu. Zamiast prostej sekretarskiej pracy robota dla specjalistów. Miłosz szybko okazał się czarujący, a lektura listów ekscytująca. Śmiałyśmy się do łez z wielu fragmentów. Carol przybiegała co chwilę zdziwiona i komentowała: „Tak się mogą śmiać tylko Polak z Polakiem”. Oczywiście, Miłosz to trudny człowiek, który potrafi być także ostry i niecierpliwy, a jednak okazało się, że w jakiś sposób pasujemy do siebie.

Dziś telefonuje do Agnieszki po kilka razy dziennie, by zapytać, co sądzi o jakimś programie w telewizji, jak jej się podoba jakaś najnowsza książka lub by mu przyniosła „Tygodnik Powszechny” i wódeczkę. – Mamy kilka ulubionych polskich wódeczek, ale z powodu korka jedną musieliśmy wyeliminować. Jak tkwił, tak tkwi, nie do ruszenia.

Agnieszka musi być stale dyspozycyjna. Na każde wezwanie. Musi odebrać i po-

Stanisław Lem pisze o wirtualnym świecie, ale sam nie zbliża się do komputera. Nie cierpi internetu, ale Wojtek założył mu stronę www. Doradza pisarzowi, jaki kupić telewizor i antenę.

segregować stopy listów, odpowiedzieć na e-maile, zarchiwizować wycinki prasowe, wszelkie miłoszowiana, znaleźć książki w bibliotece, skontaktować się z prawnikiem. – Miłosz wymaga natychmiastowej odpowiedzi. Telefonuje do mnie np. z jakimś problemem bibliograficznym. Nie mówi, na kiedy mam mu to znaleźć, ale ja wiem, że na już. Nie ma mowy, żebym odłożyła coś do jutra. Dla niego bardzo liczy się głos młodego pokolenia. Ja mam 33 lata, a profesor prawie 90, ciekawi go więc ta przepaść pokoleniowa. Z moim dziewięcioletnim synem Mikołajem rozmawia o książkach dla dzieci, o szkole. Na początku mały Mikołaj odbierał telefony i wołał: „Mamo, jakiś Miłosz do ciebie!” Dziś z całym szacunkiem łączy nasze rozmowy i... traktuje go jak dziadka. Gdy Miłosz był w szpitalu, Mikołaj bardzo się martwił, rysował laurki z ich wspólnym bohaterem Harrym Potterem – mówi Agnieszka. (Noblista z zainteresowaniem przeczytał wszystkie tomy przygód małego czarodzieja).

Rozmowę z Agnieszką w kawiarni przerywa telefon. Dzwoni Carol: „Gdzie mogę kupić dobre pierogi ruskie, no wiesz, te wasze polskie?” Za godzinę znów telefon: „Gdzie można dostać najlepsze mięso?” Jesienią był inny, sezonowy: „Agnieszka, jak rozpoznaje się, czy śliwka jest dojrzała?” Albo dzwoni Miłosz, bo chce poczytać z asystentką niektóre listy, przemyśleć głośno, gdzie zamieścić kolejny artykuł i ustalić zdobycie z Biblioteki Jagiellońskiej kolejnych książek („Dlaczego mam tego pana wpisać do naszej biblioteki? On nie jest naszym studentem!” – zdziwiła się jedna z pracownic Jagiellonki. „Nie, ale jest doktorem honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego” – odparła spokojnie Agnieszka). A czasem trzeba po prostu przyjść i wezwać lekarza, bo Miłosz źle się czuje.

Wiersze Miłosza powstają pod terrorem dajmoniona, który budzi poetę najczęściej w nocy: wtedy trzeba wstać i zapisać myśl w specjalnym zeszytce ulubionym wiecznym piórem. – Wiesz? Dziś była dobra noc – dzwoni Carol. – Miłosz kilka razy wstawał. Specjalne zeszyty, które Agnieszka wyszukuje dla poety, muszą być w twardej okładce, gładkie, z lekko porowatymi kartkami.

– Poszukiwanie papierniczych akcesoriów, takich jak koszulki na materiały, teczki zawieszkowe Leitz czy miękkie ołówki z rysikiem czerwonym (nie kredki!), jedyne do korekt, przygotowują mnie i sprzedawców do szafu kontrolowanego – mówi Agnieszka. ▷

Kto

kupi buty dla noblistki?

◁ Czasami autor tomiku *To* chce porozmawiać o swoim ulubionym serialu *Złotopolscy*, którego nigdy nie przegapia. Znajomi wiedzą, że w porze, gdy telenowela jest nadawana, noblisty nie ma dla nikogo. Gdy Miłoszowie wyjeżdżają do Berkeley, Agnieszka zostaje na posterunku, opiekuje się mieszkaniem, wysyła raporty do USA, odbiera korespondencje pisarza i telefony. – Do niego chyba pisze cała Polska – mówi. – Muzeum Guzików z Łowicza prosi o znoszony guzik, Muzeum Literatury o rękopis. Mam wrażenie, że wszyscy pracują dla Miłosza, gdy znoszą mu fragmenty własnych biografii lub całe drzewa genealogiczne. Największą zmartwieniem, zarówno dla Miłosza, jak i jego asystentki, są istne kilogramy wierszy, które nadsyłają do oceny kandydaci na pisarzy (ta udręka nie omija też sekretarza pani Sz.). – Ja bym te wiersze odsyłała z przeprosinami, że nie mam czasu – wyznaje Agnieszka. – A Miłosz je przegląda!

Cała trójka pierwszych sekretarzy ma mocne poczucie, że są potrzebni swoim szefom. Agnieszka przyznaje, że stała dyspozycyjność jest uciążliwa. Ale Miłosz potrafi docenić jej pracę. Najwyższą nagrodą jest spontaniczna dyskusja na temat literatury, życia literackiego czy politycznego. Do najnowszego tomiku *To* wpisał: „Pani Agnieszko Kosińskiej za wydatną pomoc i bystrość umysłu”. – Ta praca bywa trudna, ale też dużo mi daje – uważa Agnieszka. – To właśnie Miłosz nauczył mnie ostrożności w wydawaniu sądów i nierzucania w gniewie opinii, które szybko weryfikuje czas.

Podobnie jak Michał Agnieszka zapisuje swoje rozmowy z Miłoszem, wrażenia i anegdoty. – W kilku celnych słowach potrafi oddać i skomentować to, co widzi. – Kiedyś Carol, Miłosz i ja spacerowaliśmy Plantami. W naszą stronę pędziła grupa uczniów z gimnazjum wraz z nauczycielką. Nagle pani się zatrzymuje i pyta: „Przepraszam, którą do Muzeum Archeologicznego?” Wybuchliśmy śmiechem: mają przed sobą wieszczkę, a pytają o drogę. Miłosz skomentował: „Szukają muzeum, a mają przed sobą żywy eksponat!”

Mistrz Lem nie spojrział na Wojtkę niechętnie, jak Miłosz na Agnieszkę, ale nie powitał go z radosną ulgą, jak pani Sz. Michała. Zerknął, powiedział jedno zdanie – i wyszedł. Wojtek Zemek trafił do Lema jako student polonistyki, gdyż autor *Solaris* szukał kogoś do uporządkowania biblioteki. Wojtek fascynuje się Lemem od szkoły średniej i chciał

pisnąć o nim pracę magisterską. Gdy przyszedł i zobaczył te kilka tysięcy książek zalegających ogromną bibliotekę, ręce mu opadły. A Lem spojrział na Wojtkę, wzruszył ramionami i powiedział: „Wątpię, czy coś da się z tym zrobić”. – I sobie poszedł, bo po raz kolejny czytał Sienkiewicza. A ja przez dwa dni umierałem ze strachu, że się rozmyśli i mnie zwolni – wspomina. Wojtek rzucił wtedy wszystko, ze studiami włącznie, i po paru miesiącach każda książka była skatalogowana. – Obawiałem się, że na tym moja praca się skończy, ale Lem naprawdę potrzebował sekretarza. Przez pierwsze miesiące chodziłem jak odurzony. Nigdy nie przypuszczałem, że będę dla niego pracował – wyznaje, gdyż jego fascynacja wcale nie mija z upływem czasu, ale się nasila od chwili, gdy poznał szefa jako człowieka. – To przecież jest absolutnie uniwersalny pisarz, jeśli chodzi o postrzeganie rzeczywistości i świata. Notabene bardziej doceniany za granicą niż w Polsce.

34-letni Wojtek Zemek jest „na etacie” u Lema już od dziesięciu lat. – Można powiedzieć, że zarządzam dużym przedsiębiorstwem – mówi. Przychodzi codziennie na kilka godzin. Lem dyktuje mu swoje książki. Pisze o wirtualnym świecie, ale nie znosi komputerów. I nawet się do nich nie zbliża. – *Okamgnienie* dyktował mi przez około trzy miesiące, dzień w dzień – mówi Wojtek. – Na szczęście kilka lat temu udało mi się namówić go na kupno komputera, pomimo jego niechęci do tego narzędzia. Teraz mam multimedialny sekretariat. Lem – choć nie toleruje internetu – ma dziś serwis w onecie i swoją stronę (www.lem.pl), którą stworzyli jego syn Tomek (znany tłumacz) razem z Wojtkiem. Ma też skrzynkę mailową, choć nigdy do niej nie zagląda. Poczta zajmuje się pierwszy sekretarz. – Listy od czytelników zafascynowanych jego twórczością zwykle drukuję i daję szefowi. Piszą też przyjaciele

Praca Agnieszki, Michała i Wojtka, choć nie mają stałych godzin, praktycznie trwa cały czas. Stosunek szef asystent zastąpiła bowiem relacja przyjaciel powiernik.

i znajomi. Teraz np. prowadzimy bogatą, pełną metafizyki korespondencję mailową z księdzem jezuitą Stanisławem Obirkim. Lem dyktuje mi również swoje artykuły do „Przekroju”, „Odry” i komputerowego „PC Magazine” – mówi Wojtek Zemek. Codziennie, jadąc do pracy, Wojtek odbiera gazety, które Lem prenumeruje, a nie jest ich mało. Zagraniczne periodyki naukowe, a poza tym polskie tygodniki i prasa codzienna.

– Zajmuję się także prawem autorskim. Wprawdzie Lem ma prawnika i agentów w różnych krajach, ale trudno wymagać, by miał swojego przedstawiciela wszędzie, gdzie jest wydawany. Zatem to ja negocjuję i dopracowuję umowy z dużymi, poważnymi wydawnictwami. Lem tylko składa podpis. On nie znosi papierkowej roboty. O przyjemne sprawy dbam ja. Specjalnie skończyłem studium prawa autorskiego, by móc to robić. Wojtek, spędzając tyle czasu z Lemem, czuje się u niego prawie jak domownik. Codziennie o 13.30 je obiad z Lemem i jego żoną, panią Barbarą. Przyjaźni się z Tomkiem, który jest jego rówieśnikiem. Doradza, jaki kupić telewizor albo antenę satelitarną. – Można powiedzieć, że zżyliśmy się ze sobą – mówi. – Tu nie ma relacji typu zwierzchnik i podwładny. Raczej uczeń i mistrz. Dobry sekretarz powinien być też doradcą, powiernikiem i odgromnikiem. Taką barierą ochronną.

Wojtek, który jest rozwiedziony (ma 8-letniego syna Konrada), poświęca Lemowi cały swój czas. Nawet w domu, gdy po raz kolejny czyta jego książki. Tylko w weekendy oddaje się swojej nowej pasji: scrabble. – To jest strasznie literacka gra! Doszło do tego, że czytając książkę, automatycznie wyłapuję siedmioliterowe słowa – śmieje się. – Parę razy przyszedłem do szefa niewyspany, tłumacząc, że całą noc grałem w scrabble w internecie. Spytał, na czym ta gra polega. Ale podszedł do niej z powątpiewaniem. Dla mnie ta gra to intelektualne wyzwanie. Gram też w brydża, biorę udział w zawodach. Lecz Lem nie lubi także kart. Prawdziwym wyzwaniem jest dla Wojtka jego praca i rozmowy z Lemem. – Komentujemy wydarzenia polityczne i społeczne. Te komentarze nie nadają się do prasy. Myślę, że szef ma do mnie zaufanie.

Asystenci Wielkiej Trójki pisarzy mają świadomość, że na ich oczach rodzi się historia wielkiej literatury, gęsto przetykana anegdotami. Ale wielcy nie są wcale mniejsi, gdy nie stoją na pomnikach, ale żyją wśród nas.

– KATARZYNA T. NOWAK